

MISTRZYNI BRYTYJSKIEGO KRYMINAŁU

ELLY  
Griffiths

Puste  
jest  
piekło

Wszystkie diabły są tutaj.

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE STRANGER DIARIES

Copyright © Elly Griffiths 2018  
All rights reserved including the rights of reproduction in whole  
or in part in any form

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023  
Polish translation copyright © Łukasz Praski 2023

Redakcja: Marek Ostrowski  
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka  
Zdjęcia na okładce: © Magdalena Wasiczek/Arcangel (*kwiaty*);  
Le Panda/Shutterstock (*pismo odręczne*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com  
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# Rozdział 1

– Jeśli pan pozwoli – rzekł Nieznajomy – chciałbym opowiedzieć pewną historię. Przed nami przecież długa podróż, a sądząc po kolorze nieba, przez dłuższy czas nie opuścimy wagonu. Możemy więc sobie uprzyjemnić czas opowiadaniem, prawda? Doskonała rzecz na wieczór pod koniec października.

Jest panu wygodnie? Herbertem proszę się nie przejmować. Nie robi panu krzywdy. Po prostu denerwuje go ta pogoda. Na czym to ja skończyłem? Może odrobinę brandy na rozgrzewkę? Nie przeszkadza panu, że częstuję z piersiówki?

Ta historia przydarzyła się naprawdę. Nie uważa pan, że to najlepszy rodzaj opowieści? Co więcej, przydarzyła mi się, gdy byłem młodym człowiekiem. Mniej więcej w pańskim wieku.

Byłem studentem w Cambridge. Studiowałem oczywiście teologię. Moim zdaniem żaden inny kierunek nie jest istotny, może z wyjątkiem literatury angielskiej. Sen i my z jednych złożeni pierwiastków\*. Spędziłem na uniwersytecie prawie cały trymestr. Byłem nieśmiałym chłopakiem z prowincji i czułem się samotny. Nie należałem do elegantów, do tych młodzieńców z białymi muchami na szyjach, którzy kroczyli przez dziedziniec, jak gdyby cieszyli się przywilejami samego Boga. Trzymałem się z boku, chodziłem na wykłady, pisałem prace i zaprzyjaźniłem się

---

\* William Shakespeare, *Burza*, akt IV, scena 1, przekład Leona Ulricha.

*z innym stypendystą na moim roku, cichym chłopakiem, który, nie uwierzy pan, miał na imię Gudgeon\*. Co tydzień pisałem do matki. Chodziłem do kaplicy. Tak, w tamtych czasach byłem wierzący. Można było nazwać mnie wręcz dewotem – „dewem”, jak wtedy mówiliśmy. Dlatego zdziwiłem się, że otrzymałem zaproszenie do Piekelnego Klubu. Zdziwiłem się i ucieszyłem. Oczywiście wcześniej dużo o nim słyszałem. O nocnych orgiach, o tym, jak posługaczki traciły przytomność na widok tego, co zastawały w pokojach, o tajemniczych śpiewach z Księgi umarłych, o pogrzebanych kościach i otwartych grobach. Słyszało się też inne historie. W Piekelnym Klubie zaczynało wielu ludzi, którym potem powiodło się w życiu: przewinęli się przez niego politycy – w tym chyba dwóch ministrów – pisarze, prawnicy, naukowcy, magnaci biznesu. Zawsze można ich było poznać po dyskretnej odznace: malej czaszce wpiętej w lewą klapę. Zgadza się, takiej jak ta.*

*No więc cieszyłem się, że zaproszono mnie na ceremonię inicjacji. Wyznaczono ją na trzydziestego pierwszego października. Oczywiście, w wigilię Wszystkich Świętych. Tak, dzisiaj też jest ten dzień. Jeśli ktoś wierzy w zbiegi okoliczności, ten mógłby uznać za nieco ponury.*

*Wracam do historii. Otóż ceremonia była prosta i odbywała się o północy. Jakżeby inaczej. Trzej nowicjusze mieli iść do zrujnowanego domu, który stał tuż obok uczelnianego parku. Po kolei zawiązywano nam oczy i wręczano świecę. Kazano nam wejść do domu, wspiąć się po schodach i zapalić świecę w oknie na podeście piętra. Potem mieliśmy krzyknąć, ile sił w płucach: „Puste jest piekło!”. Po wypełnieniu zadania wszyscy trzej mogliśmy zdjąć opaski z oczu i dołączyć do kolegów. Potem był czas na hulanki i swawole. Gudgeon... czy wspominałem, że jednym z tej trójki był biedny Gudgeon? Bał się, bo bez okularów prawie nic nie widział. Powiedziałem mu jednak, że przecież i*

---

\* Gudgeon (przest.) – naiwniak, jeleń.

*tak wszyscy mamy opaski na oczach.* Człowiek może widzieć, jak świat ten idzie, bez pomocy oczu\*.

– No więc co się tu dzieje? – pytam.

– Coś złego – mówi Peter.

– Masz całkowitą rację – przyznaję, licząc w myślach do dziesięciu. – Dlaczego tak sądzisz?

– Po pierwsze, z powodu czasu i miejsca akcji – odzywa się Una. – Północ, Halloween.

– To trochę banalne – zauważa Ted.

– Banalne, ale się sprawdza – odpowiada Una. – Kiedy jeszcze dodamy pogodę, jest naprawdę strasznie. O co się założymy, że pociąg utknie w śniegu?

– To plagiat z *Morderstwa w Orient Expressie* – mówi Peter.

– *Nieznajomy* ukazał się wcześniej niż książka Agathy Christie – wyjaśniam. – Z czego jeszcze wnioskujecie, jaki to rodzaj opowieści?

– Od tego, co mówi narrator, ciary chodzą po plecach – rzuca Sharon. – Na przykład: *niech się pan poczęstuje z piersiówki i nie przejmuj Herbertem.* Kto to w ogóle ten Herbert?

– Dobre pytanie – stwierdzam. – Jak myślicie?

– Głuchoniemy.

– Jego służący.

– Jego syn. Trzeba go pilnować, bo jest niebezpiecznym szaleńcem.

– Jego pies.

Śmiech.

– Zdziwicie się, ale Ted ma rację – mówię. – Herbert to pies. Czworonożny towarzysz to ważny trop gatunkowy w opowieści o duchach, ponieważ zwierzę wyczuwa rzeczy, których człowiek nie potrafi pojąć. Czy jest coś bardziej przerażającego niż pies wpatrzony w coś, czego nie widać? Oczywiście to koty słyną ze zdolności do budzenia grozy. Weźmy na przykład Edgara Allana

---

\* William Shakespeare, *Król Lear*, akt IV, scena 6, przekład Leona Ulricha.

Poego. Często uważano zwierzęta za chowańców czarownic, pomagających im w uprawianiu czarnej magii. Ale zwierzęce postacie mogą być użyteczne także z innego powodu. Ktoś się domyśla jakiego?

Nikt się nie domyśla. Jest popołudnie, tuż przed przerwą, więc grupa myśli raczej o kawie i ciastkach niż o literackich archetypach. Spoglądam przez okno. Chociaż dopiero czwarta, drzewa przy cmentarzu są ciemne. Powinam zostawić to opowiadanie na wieczorną sesję, gdy zapadnie zmrok, ale na krótkim kursie trudno jest omówić wszystko. Pora kończyć.

– Zwierzęta można poświęcić – wyjaśniam. – Często się zdarza, że autorzy skazują je na śmierć, by stworzyć napięcie. Nie ma to takiego znaczenia jak zabicie człowieka, ale bywa wyjątkowo przygnębiające.

Grupa słuchaczy kursu kreatywnego pisania z tupotem zbiega po schodach w poszukiwaniu kofeiny, a ja jeszcze przez chwilę zostaję w sali. Dziwnie się czuję w tej części szkoły. Prowadzi się tu tylko zajęcia dla dorosłych; pomieszczenia są zbyt małe i dziwne, by mogły się w nich odbywać regularne lekcje. W tym jest kominek i dość niepokojący obraz olejny, który przedstawia dziecko trzymające coś, co przypomina martwą fretkę. Bez trudu potrafię sobie wyobrazić dwunastolatki próbujące wleźć do kominka podczas zabawy w kominiarzy. Szkolne życie w Talgarth toczy się w Nowym Budynku, potworku ze szkła i kolorowych cegieł z lat siedemdziesiątych. Stary Budynek, nazywany kiedyś Domem Hollandów, w rzeczywistości jest tylko przybudówką. Znajdują się w niej kuchnie, jadalnia i kaplica, a także gabinet dyrektora. W salach na pierwszym piętrze urządzi się czasem próby muzyczne i teatralne. Jest tam również stara biblioteka, dziś odwiedzana tylko przez nauczycieli, ponieważ uczniowie korzystają ze współczesnej wersji w Nowym Budynku, z komputerami, fotelami i obrotowymi stojakami z książkami w

miękkiej oprawie. Na ostatnim piętrze, gdzie uczniowie nie mają wstępu, znajduje się gabinet R.M. Hollanda, zachowany w takim stanie, w jakim go zostawił. Wiadomość, że autor *Nieznajomego* naprawdę tu mieszkał, zawsze wywołuje dreszcz emocji u uczestników kursu kreatywnego pisania. Właściwie Holland prawie w ogóle stąd nie wychodził. Był staroświeckim typem samotnika, który mieszkał z gospodynią i służbą. Nie wiem, czy sama wychodziłabym z domu, gdyby ktoś mi gotował i sprzątał, prasował „Timesa” i kładł na tacy obok porannej herbaty. Mam jednak córkę, więc musiałabym się w końcu ruszyć. Georgie pewnie nigdy nie wstałaby z łóżka, gdybym nie wołała z dołu, która jest godzina. R.M. Holland nie musiał się mierzyć z takim problemem, choć mógł mieć córkę. Zdania w tej kwestii są podzielone.

Trwają jesienne ferie; kiedy nie ma uczniów i spędzam cały czas w Starym Budynku, mogę sobie wyobrazić, że uczę na jakimś wiekowym i szacownym uniwersytecie. Fragmenty Domu Hollandów przypominają nawet jeden z oksfordzkich college'ów, jeśli nie zwraca się uwagi na Nowy Budynek i zapach sali gimnastycznej. Cieszę się, że mam czas dla siebie. Georgie jest u Simona, Herbert w psim hotelu. Nie muszę się o nic martwić, a po powrocie do domu nic nie powstrzyma mnie od nocnego pisania. Pracuję nad biografią R.M. Hollanda. Interesuję się nim od zawsze, odkąd jako nastolatka w jakiejś antologii opowiadań grozy przeczytałam *Nieznajomego*. Kiedy starałam się o pracę w tej szkole, nie wiedziałam, że był z nią związany. W ogłoszeniu w ogóle o tym nie wspomniano, a rozmowa kwalifikacyjna odbywała się w Nowym Budynku. Gdy w końcu się dowiedziałam, uznałam, że to znak. Za dnia będę uczyć angielskiego, a wieczorami, zainspirowana otoczeniem, będę pisać o Hollandzie, o jego dziwnym samotniczym życiu, tajemniczej śmierci żony, zaginionej córce. Początek był całkiem udany; udzieliłam nawet wywiadu lokalnej telewizji, przechadzając się zmieszana po Starym Budynku i opowiadając o

jego poprzednim lokatorze. Ostatnio jednak – nie wiem dlaczego – straciłam wenę. Powtarzam uczniom: Piszcie codziennie. Nie czekajcie na natchnienie, może się nie pojawić. Muza zawsze zastaje was przy pracy. Sięgnijcie do swoich serc i piszcie. Ale, jak większość nauczycieli, niezbyt pilnie słucham własnych rad. Najczęściej robię zapiski w dzienniku, ale to się nie liczy, bo nikt oprócz mnie nie będzie ich czytał.

Pewnie powinnam zejść na kawę, dopóki jeszcze mam chwilę przerwy. Wstaję i spoglądam przez okno. Zapada zmierzch i nagły podmuch wiatru kołysze drzewami. Patrząc na tuman liści przetaczający się przez parking, widzę to, co powinnam zauważyć już wcześniej: nieznajomy samochód, w którym siedzą dwie osoby. Nic szczególnie dziwnego. W końcu to szkoła, tyle że w trakcie ferii. Goście nie są zupełnie nieoczekiwani. Być może to nawet członkowie grona pedagogicznego, którzy przyjechali przygotować klasy i zaplanować pracę na przyszły tydzień. Ale w aucie i tych ludziach jest coś, co budzi mój niepokój. To nijaki szary pojazd – w ogóle nie znam się na markach, ale Simon by ją rozpoznał. Wygląda na solidny i wytrzymały, mógłby służyć jako taksówka. Tylko dlaczego pasażerowie wciąż w nim siedzą? Nie widzę twarzy tych osób, ale obie są ciemno ubrane i podobnie jak wóz wyglądają prozaicznie i równocześnie groźnie.

Niemal spodziewam się jakiegoś wezwania, więc wcale nie dziwi mnie dzwonek telefonu. To Rick Lewis, szef mojego zespołu przedmiotowego.

– Clare – mówi – mam straszną wiadomość.



# Dziennik Clare

*Poniedziałek, 23 października 2017*

*Ella nie żyje. Gdy Rick mi o tym powiedział, nie mogłam uwierzyć. A kiedy słowa zaczęły docierać, pomyślałam: kraksa, nieszczęśliwy wypadek, może nawet przedawkowanie. Ale gdy Rick dodał „zamordowana”, zabrzmiało to tak, jakby zaczął mówić w innym języku.*

*– Zamordowana? – powtórzyłam tępo.*

*– Policja twierdzi, że wczoraj wieczorem ktoś się włamał do jej domu – wyjaśnił Rick. – Rano zapukali do mnie. Daisy myślała, że mnie aresztują.*

*Ciągle nie potrafiłam tego pojąć. Ella. Moja przyjaciółka. Koleżanka z pracy. Sojuszniczka w zespole anglistów. Zamordowana. Rick powiedział, że Tony już wie i zamierza jeszcze dziś rozesłać wiadomość do rodziców uczniów.*

*– Napiszą o tym w gazetach – dodał Rick. – Dzięki Bogu, że są ferie.*

*Pomyślałam to samo. Dzięki Bogu, że są ferie, dzięki Bogu, że Georgie jest u Simona. Zaraz jednak ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Rick chyba zdał sobie sprawę, że przyjął niewłaściwy ton, bo dodał: „Przykro mi, Clare”, jakby mówił szczerze.*

*Przykro mu. Chryste.*

*A potem musiałam wrócić do sali i dalej uczyć o opowiadaniach grozy. To nie były moje najlepsze zajęcia. Ale Nieznajomy nigdy nie zawodzi, zwłaszcza gdy kończymy już po zmroku. Una*

wręcz krzyknęła. Na ostatnią godzinę wyznaczyłam im zadanie: „Napiszcie opowiadanie rozpoczynające się od otrzymania złej wiadomości”. Patrzyłam na ich pochylone głowy, gdy pracownicy skrobali swoje arcydzieła (Telegram przyszedł o wpół do trzeciej...), i pomyślałam: *gdybyście tylko wiedzieli.*

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłam do Debrę. Wyjechała z rodziną i nic nie wiedziała. Rozplakała się, powiedziała, że nie wierzy, i tak dalej. I pomyśleć, że wszystkie trzy widziałyśmy się jeszcze w piątek wieczorem. Rick mówił, że Ella zginęła w niedzielę, nie wiadomo, kiedy dokładnie. Pamiętam, że wysłałam jej wiadomość o wynikach Tańca z gwiazdami i nie dostałam odpowiedzi. *Czy już wtedy nie żyła?*

Gdy prowadziłam zajęcia, a potem rozmawiałam z Debrą, nie było tak źle, ale teraz jestem sama. Mam takie poczucie... hm, grozy?... że prawie sztywnieję ze strachu. Siedzę z dziennikiem na łóżku i nie chcę zgasić światła. Gdzie jest Ella? Zabrali jej zwłoki? Musieli ją zidentyfikować rodzice? Rick nie zdradził mi żadnego z tych szczegółów, a w tym momencie wydają mi się niesłychanie ważne.

*Po prostu nie potrafię uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczę.*

## Rozdział 2

Pojawiam się w szkole wcześnie. Prawie nie spałam. Miałam koszmary, choć nie o Elli: śniło mi się, że szukam Georgie w miastach spustoszonych wojną, że Herbert zaginął, że z drugiego pokoju woła mnie zmarły dziadek. Herbert nocował w Doggy Day Care, ośrodku opieki nad psami – zapewne między innymi stąd wzięły się dręczące sny – bo nie chciałam, żeby budził mnie, domagając się jedzenia, spacerów i rozrywki. Wstałam o szóstej, a do Talgarth dojechałam przed ósmą. W szkole było już kilka osób, które popijały kawę w jadalni i próbowały nawiązać rozmowy. Podczas ferii zawsze odbywa się tu kilka kursów, a ja staram się rozpoznać ich uczestników: kobiety z nietypową biżuterią zwykle biorą udział w zajęciach z garncarstwa albo tkania gobelinów, mężczyźni w sandałach i z długimi paznokciami zwykle przychodzą ćwiczyć na instrumentach strunowych. Najtrudniej jest zidentyfikować moich uczniów. To jedna z miłych stron uczenia kreatywnego pisania – w grupie zdarzają się emerytowani nauczyciele i adwokaci, kobiety, które wychowały już dzieci i mają ochotę zrobić coś dla siebie, dwudziestoparolatki przekonane, że drzemie w nich talent na miarę J.K. Rowling. Najbardziej lubię ludzi, którzy zaliczają po kolei wszystkie kursy i zapisują się na mój, bo jest następny na liście, zaraz po „Krawiectwie”. Ci słuchacze zawsze mnie zaskakują – podobnie

jak samych siebie.

Biorę czarną kawę z automatu i siadam przy samym końcu jednego ze stołów. Dziwnie się czuję, jedząc i pijąc, wykonując rutynowe czynności, układając sobie w głowie plan dzisiejszych zajęć. Wciąż nie mogę oswoić się z myślą, że żyję w świecie bez Elli. Choć prawdopodobnie za najlepsze przyjaciółki uznałabym Jen i Cathy z uniwersytetu, to nie ma wątpliwości, że z Ellą spotykałam się częściej – w ciągu trimestru widywałam się z nią codziennie. Opowiadałyśmy sobie o naszych rozczarowaniach uczniami, a także Rickiem i Tonym, o naszych nieczęstych sukcesach, dzieliłyśmy się pikantnymi plotkami na temat pedagózki i jednego z asystentów w laboratorium. Nawet teraz mam ochotę do niej napisać, chociaż to niedorzeczne.

– Nie uwierzysz, co się stało. – To Ted z kursu kreatywnego pisania. – Mogę tu usiąść?

– Oczywiście. – Zdobynam się na życzliwy uśmiech.

Ted jest dobrym przykładem na to, jak trudno sklasyfikować moich słuchaczy. Z ogoloną głową i tatuażami bardziej przypomina uczestnika kursu „Rzeźby w drewnie dla początkujących” albo nawet „Tajemnic japońskiej ceramiki”. Wczoraj usłyszałam od niego jednak kilka celnych spostrzeżeń i, Bogu dzięki, chyba nie zamierza rozmawiać ze mną o tym, co pisze.

– Podobały mi się wczorajsze zajęcia – informuje, wyjmując opakowanie ciastek, z tych, które można znaleźć w pokojach hotelowych.

– To dobrze – odpowiadam.

– Całą noc myślałem o tym opowiadaniu.

– Działa na wyobraźnię, prawda? R.M. Holland nie był najwspanialszym pisarzem, ale na pewno wiedział, jak straszyć ludzi.

– I naprawdę tu mieszkał? W tym domu?

– Tak. Mieszkał tu do tysiąc dziewięćset drugiego roku. Na piętrze, gdzie wczoraj mieliśmy zajęcia, były sypialnie, a na strychu gabinet.

- Dzisiaj to szkoła, prawda?
- Zgadza się, gimnazjum Talgarth. Po śmierci Hollanda w budynku otwarto szkołę z internatem, potem elitarne liceum, do którego można się było dostać po zaliczeniu egzaminu. Rejonowe gimnazjum działa tu od lat siedemdziesiątych.
- I tu pani uczy?
- Tak.
- Czyta pani z uczniami *Nieznanajomego*?
- Nie. Hollanda nie ma w programie nauczania. Ciągłe królują w nim *Myszy i ludzie* i *Okruchy dnia*. Kiedyś prowadziłam zajęcia z kreatywnego pisania w jedenastej klasie i czasem czytałam im *Nieznanajomego*.
- Dzieciaki musiały mieć po nim koszmary.
- A skąd, bardzo im się podobał. Nastolatki uwielbiają opowieści o duchach.
- Ja też. – Uśmiecha się szeroko, ukazując dwa złote zęby. – W budynku jest jakaś dziwna atmosfera. Pewnie tu straszy.
- Krąży parę historii. Rzekomo jakaś kobieta spadła z ostatniego piętra. Niektórzy mówią, że była to żona Hollanda. Albo córka. Paru uczniów twierdzi, że widziało kobietę spływającą po schodach w białej koszuli nocnej. Czasem można też dostrzec kątem oka spadającą postać. Podobno plama krwi jest widoczna do dziś, przed gabinetem dyrektora.
- Stosowne miejsce.
- To młody człowiek, zna się na modzie. Zupełne przeciwieństwo pryncypałów z Dickensa.
- Szkoda.
- Ted zanurza ciastko w herbacie, ale okazuje się zbyt miękkie i połowa wpada do kubka.
- Jaki jest temat na dzisiaj? – pyta. – Wczoraj zostawiłem program zajęć w sali.
- Tworzenie postaci, które zapadają w pamięć – odpowiadam.
- Po południu czas i miejsce akcji. A potem do domu. Przepraszam, lepiej pójdę się przygotować.

Idę do sali sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na dzisiejsze zajęcia, ale gdy wchodzę, siadam przy biurku i chowam twarz w dłoniach. Jak, do cholery, mam przetrwać ten dzień?

Poznałam Ellę pięć lat temu, podczas rekrutacji na posady nauczycielek w Talgarth. Przywitał nas Rick, który próbował udawać, że jedna trzecia anglistów wcale nie zrezygnowała z pracy po zakończeniu wiosennego trymestru i nie zostawiła mu raptem kilku miesięcy na znalezienie dwójki doświadczonych nauczycieli angielskiego. Niedawno przeglądałam dziennik, by znaleźć notatki opisujące pierwsze wrażenie, jakie zrobił na mnie Rick, ale z rozczarowaniem zobaczyłam same banały. *Wysoki, szczupły, wymięty i potargany*. Rick jest typem człowieka, którego czar – jeśli można to tak nazwać – ujawnia się stopniowo.

– To naprawdę dynamiczny zespół – oznajmił, kiedy wprowadzał nas po budynkach. – A szkoła jest świetna, zróżnicowane środowisko, mnóstwo energii.

Zdążyłyśmy już ustalić, że są dwie wolne posady i nie konkurujemy ze sobą. Wymieniłyśmy spojrzenia. Wiedziałyśmy, co to znaczy „dynamiczny zespół”. Szkoła znalazła się na skraju anarchii. Po ostatniej kontroli dostała ocenę „wymaga poprawy”. Poprzednia dyrektorka, Megan Williams, zachowała stanowisko, ale dwa lata później została z niego wyrugowana przez Tony’ego Sweetmana, który miał zaledwie dziesięcioletnią praktykę pedagogiczną. Dziś szkoła szczeni się notą „dobra”.

Po rozmowie rekrutacyjnej Ella i ja wymieniłyśmy wrażenia w pokoju nauczycielskim, ponurym pomieszczeniu w Nowym Budynku, gdzie na różnych urządzeniach przyklepiono pasywno-agresywne komunikaty w rodzaju: *Proszę pomagać w opróżnianiu zmywarki. To nie może być zawsze mój obowiązek!* Zostałyśmy same przy kawie, herbacie i ciastkach, podczas gdy „panel” podejmował decyzję. Obie wiedziałyśmy, że usłyszymy ofertę pracy. Perspektywa była mniej przygnębiająca dzięki

kobiecie siedzącej naprzeciwko mnie: miała długie blond włosy i dość ostry nos; nie była piękna, ale wyjątkowo atrakcyjna. Później dowiedziałam się, że Ella, wielbicielka Jane Austen, identyfikowała się z Elizabeth Bennet, w moich oczach zawsze była jednak Emmą.

– Dlaczego chcesz tu pracować? – spytała, mieszając herbatę długopisem.

– Jestem świeżo po rozwodzie – odparłam. – Chcę się wyprowadzić z Londynu. Mam dziesięcioletnią córkę. Pomyślałam, że spodoba się jej mieszkanie na prowincji. I blisko morza.

Szkoła znajdowała się w West Sussex, zaledwie piętnaście minut drogi od Shoreham-by-Sea, a od Chichester pół godziny, gdy nie było korków. I Rick, i Tony mocno to podkreślali. Staralam się skupić raczej na zielonych krajobrazach na trasie niż pracowniach plastycznych z wybitymi oknami i ponurym dziedzińcu, gdzie wszystkie rośliny wyżał słony wiatr.

– Ja też uciekam – przyznała się Ella. – Uczyłam w Walii, ale miałam romans z szefem zespołu anglistów. To nie był dobry pomysł.

Pamiętam, jak się wzruszyłam, nieco zszokowana, że zwierza mi się na tak wczesnym etapie znajomości.

– Nie wyobrażam sobie romansu z Rickiem – powiedziałam. – Przypomina stracha na wróble.

– *Gdybym tylko miała rozum...* – zanuciła Ella, świetnie naśladowując Stracha na Wróble z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

Rozumu jej jednak nie brakowało, więc powinna się wtedy poznać na Ricku. Powinna mnie posłuchać.

Dzisiaj już na to za późno.

Rano rozmawiam z grupą o *Nieznanym*.

– W opowiadaniach grozy często spotykamy określone typy postaci – mówię. – Niewinnego młodego człowieka, postać, która

mu pomaga, postać, która mu przeszkadza, obmierzłą damę.

– Znam takich kilka – wtrąca Ted z nieco prostackim rechetem.

– Nie wiem, co to znaczy – odzywa się Una. – „Obmierzła dama”. – Rozpoznaję w Unie typ, od którego takie sprawy wymagają sporego wysiłku.

– To postać, która pojawia się w licznych gotyckich powieściach i opowiadaniach grozy – wyjaśniam. – Weźmy na przykład *Kobietę w czerni* albo panią Rochester z *Dziwnych losów Jane Eyre*. Wywodzi się z legend takich jak w *Opowieści damy z Bath* Chaucera, gdzie piękna kobieta zmienia się we wstrętną wiedźmę albo odwrotnie.

– Na pewno ją spotkałem – rzuca Ted.

Nie zamierzam dać się sprowokować. Przez ostatnie dwa dni nasłuchaliśmy się dość o jego życiu miłosnym.

– Oczywiście, mamy też historie takie jak w poemacie *Lamia* Keatsa, gdzie wąż naprawdę przepoczwarza się w kobietę.

– Przecież w *Nieznajomym* nie ma kobiety-węża – zauważa Una.

– Nie ma – przyznaję. – R.M. Holland w swojej prozie raczej w ogóle unika kobiet.

– Ale mówiła pani, że ten dom jest nawiedzany przez ducha jego żony – przypomina mi Ted, a ja przeklinam się w myślach za naszą sympatyczną pogawędkę przy ciastkach.

– Proszę opowiedzieć – odzywa się kilka osób. Te wrażliwsze drżą z ekscytacji, ale gdy przez okna wpadają promienie jesiennego słońca, trudno wierzyć w duchy.

– R.M. Holland ożenił się z Alice Avery – mówię. – Mieszkali tu, w tym domu, i Alice zginęła, prawdopodobnie spadając ze schodów. Jej duch podobno snuje się po korytarzach na pierwszym piętrze, a nawet spływa po schodach. Niektórzy twierdzą, że jeżeli ktoś go zobaczy, oznacza to, że śmierć jest blisko.

– A pani kiedyś ją widziała? – pyta ktoś.



– Nie. – Odwracam się do tablicy. – Zróbmy teraz ćwiczenie z tworzenia postaci. Wyobraźcie sobie, że jesteście na stacji kolejowej...

Ukradkiem zerkam na zegarek. Zostało tylko sześć godzin.

Dzień wydaje się ciągnąć bez końca, trwać stulecia, milenia. Wreszcie jednak żegnam się ze słuchaczami i obiecuję, że będę szukać ich książek w dziale kulturalnym „Sunday Timesa”. Zbieram papiery i zamykam salę na klucz. Potem prawie sprintem pokonuję wysypany żwirem parking, zmierzając do samochodu. Jest piąta, ale mam wrażenie, że minęła północ. W szkole pali się tylko kilka świateł, w drzewach szumi wiatr. Nie mogę się doczekać powrotu do domu, żeby usiąść z kieliszkiem wina, pomyśleć o Elli, a przede wszystkim zobaczyć Herberta.

Gdyby ktoś pięć lat temu powiedział mi, że do tego stopnia uzależnię się od psa, wybuchłabym śmiechem. Nigdy nie należałam do dzieci uwielbiających zwierzęta. Wychowałam się w północnym Londynie, rodzice wykładali na uczelniach, a naszym jedynym zwierzęciem był kot Meduza, który bezceremonialnie okazywał obojętność wszystkim oprócz mojej matki. Ale gdy się rozwiodłam i przeprowadziłam do Sussex, uznałam, że Georgie potrzebuje psa. Miał być motywacją do wyjścia z domu, do spacerów i ograniczenia godzin spędzonych na gapieniu się w ekran telefonu. Georgie mogła wylewać swoje nastoletnie lęki do cierpliwego psiego ucha. Ja też miałam na tym skorzystać; wyobrażałam sobie mgliście, że pies pomoże mi utrzymywać formę i poznawać ludzi wyprowadzających psy. To o wiele lepsze od klubu książki, gdzie zawsze ktoś mógłby zaproponować *Dziewczynę z pociągu*.

No więc poszliśmy do schroniska i wybrałyśmy Herberta. A raczej to on wybrał nas, bo przecież na tym to polega, prawda? Chciałam psa na tyle małego, żebym w razie niebezpieczeństwa mogła go wziąć na ręce, ale nie tak małego, żeby przestano

uważać go za psa. Rodowód Herberta jest niejasny, ale zdaniem pracowników schroniska mógł być krzyżówką cairn terriera i pudla. Właściwie wyglądał jak z ilustracji w książce dla dzieci. Biały Hairy Maclary, stworzenie przypominające kleks białej farby z domalowanymi nogami.

I oczywiście to ja straciłam głowę dla Herberta. Zgoda, Georgie też go kocha. Wyprowadza go na spacer i przypisuje mu wszelkie ludzkie emocje. „Herbert wstydzi się innych psów. To dlatego, że jest jedynakiem”. Ale to ja świata poza nim nie widzę, zwierzam mu się ze wszystkich kłopotów i pozwalam spać w swoim łóżku. Tak bardzo go Kocham, że gdy na niego patrzę, czasem nie mogę wyjść ze zdumienia, że jest pokryty sierścią.

Andy, właściciel ośrodka Doggy Day Care (wiem, nie osądzajcie mnie), cieszy się na mój widok. To sympatyczny facet, który bardzo lubi pogadać. Ale gdy tylko pojawia się kudłaty pyszczek Herberta o pogodnym i wyrozumiałym wyrazie, mam ochotę się rozplakać. Biorę go w ramiona, płacę Andy'emu i prawie biegiem wracam do samochodu. Chcę po prostu jak najszybciej jechać do domu ze swoim chowańcem. Po drodze wstępuję po wino i czekoladę, a Herbert dyszy mi prosto w ucho.

Mieszkam w domu szeregowym z dwoma pokojami na parterze i dwoma na piętrze, czarnymi drzwiami wejściowymi i ogrodzeniem z kutego żelaza. Tyle że rząd segmentów stoi niemal w szczerym polu, osłonięty z tyłu kredowym urwiskiem. Powstał dla robotników z cementowni, z której zostały tylko ruiny (ślepe okna, rdzewiejące maszyny, wiatr tłukący w nocy w żelazny dach). Domy jednak przetrwały, całkiem ładne i zrewitalizowane, i stoją naprzeciwko łąki pełnej pasących się krów, niezwracających najmniejszej uwagi na koszmarną opuszczoną budowlę za nimi. Przyzwyczailiśmy się już do naszego; blisko stąd do szkoły i niedaleko do Steyning, gdzie jest parę miłych kawiarenek i świetna księgarnia. Ale raz na jakiś czas mój wzrok pada na cementownię, na te ziejące pustką okna, i wtedy myślę: kto chciałby tu zamieszkać z własnej woli?

Droga dojazdowa prowadzi tylko do szeregówek, dlatego dziwi mnie widok samochodu zaparkowanego przed moim wejściem. Ale czy naprawdę jestem zaskoczona? Przez cały dzień towarzyszyło mi przeczucie. Szczerze mówiąc, rozpoznałem auto z tępych ukłuciem pewności, że się nie mylę. Gdy parkuję i biorę na ręce podekscytowanego Herberta, z pojazdu wysiada kobieta.

– Dzień dobry – mówi. – Pani Clare Cassidy? Jestem detektyw sierżant Kaur. Mogę na chwilę wejść?

## Rozdział 3

Detektyw sierżant Kaur jest niewysoka i ma ciemne włosy związane w kucyk. Jest pewnie z dziesięć lat młodsza ode mnie, czyli ma około trzydziestu pięciu. Mimo drobnej, niemal dziewczęcej sylwetki wyczuwa się jej autorytet, jak u niektórych nauczycieli. Za sierżant Kaur stoi starszy od niej mężczyzna, siwiejący, o raczej niedbałym wyglądzie. Przedstawia się jako detektyw sierżant Neil Winston. Para śledczych, jak w telewizji.

Herbert próbuje skoczyć na Kaur, ale go odciągam. Po tylu sesjach szkolenia ciągle zależy mu na tym, żeby wprawić mnie w zakłopotanie.

– Nic nie szkodzi – mówi policjantka. – Lubię psy.

Mimo to otrzepuje ubranie. Herbert jest półpudłem, więc nie linieje zbyt intensywnie, ale sierżant Kaur nie może o tym wiedzieć. Ma czarne spodnie, białą bluzkę i ciemny żakiet. Cywilny strój, ale na tyle bezosobowy, że wygląda jak uniform. Jestem pewna, że dwie osoby, które widziałam wczoraj na parkingu, to byli ona i Winston.

– Proszę wejść – mówię.

Pokonujemy ścieżkę i otwieram lśniące czarne drzwi domu. Jedną ręką zbieram z podłogi pocztę i wskazuję gościom salon. Puszczony wolno Herbert wpada do kuchni i obszczekuje coś niewidzialnego.

– Napiją się państwo herbaty? – proponuję.

– Nie, dziękuję – odpowiada Kaur dokładnie w chwili, w której Winston mówi:

– Z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru.

Gdy stawiam torbę z zakupami na podłodze w kuchni, rozlega się oskarżycielski brzęk butelki. Mam nadzieję, że Kaur tego nie słyszała. Już wiem, że to z nią należy się liczyć. Parzę herbatę i kładę na talerz ciastka. Idę do salonu z Herbertem, który bryka u moich stóp.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Elli Elphick – informuje mnie Kaur, gdy siadam. – Domyślam się, że już panią o tym zawiadomiono?

– Tak. Wczoraj dzwonił do mnie Rick Lewis, szef mojego zespołu przedmiotowego.

– Przykro mi – mówi Kaur. – Wiem, że to musi być dla pani straszny szok, ale chcemy jak najszybciej porozmawiać ze wszystkimi znajomymi i kolegami Elli z pracy. Chcemy dowiedzieć się jak najwięcej o jej życiu, żeby ustalić, kto mógł dokonać tego strasznego przestępstwa.

– Sądziłam...

– Co pani sądziła?

– Myślałam... to znaczy, zakładałam, że zamordował ją ktoś obcy. Że to przypadkowa napaść. Napad rabunkowy, który zakończył się tragicznie.

– Większość ofiar zabójstw ginie z ręki ludzi, których znają, i mamy powody przypuszczać, że podobnie było w tym przypadku.

– Rick mówił, że Ella została pchnięta nożem...

– To prawda – potwierdza Kaur. – Wielokrotnie.

– O Boże...

Zapada milczenie. Winston popija herbatę, Herbert cicho skomle.

Kaur wyjmuje notes.

– A więc uczyła pani z Ellą w gimnazjum w Talgarth. Zgadza się?

– Tak. Obie uczymy angielskiego. Uczyłyśmy. O Boże...

Czeka, aż wezmę się w garść.

– Odpowiadam za etap trzeci, a Ella za czwarty.

– Etap trzeci to...?

– Trzeci etap kształcenia to klasy od siódmej do dziewiątej.

Od jedenasto- do czternastolatków. Etap czwarty to klasy dziesiąta i jedenasta. Ostatnie przed egzaminem GCSE\*. Dzieciaki od czternastu do szesnastu lat.

– Czyli współpracowałyście dość blisko?

– Tak, to mały zespół anglistów, tylko sześć osób. Raz na tydzień mamy spotkania, opracowywałam z Ellą plany zajęć, formularze oceny postępów, cele, tego rodzaju rzeczy.

– Współpraca dobrze się układała? – pyta Kaur. Nie ma żadnego problemu z użyciem czasu przeszłego, ale przecież nie znała Elli, kiedy ta istniała w czasie teraźniejszym.

– Bardzo dobrze.

– Czy poza pracą utrzymywała z nią pani kontakty towarzyskie?

Kontakty towarzyskie. Dziwne określenie, zbyt oficjalne, żeby oddać charakter naszej relacji: spacery z Herbertem, wspólne posiłki, kiedy jadłyśmy i piłyśmy odrobinę za dużo, długie rozmowy na Messengerze o *Tańcu z gwiazdami*.

– Tak.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Ellę?

– W piątek wieczorem. Byłyśmy w kinie, a potem poszłyśmy coś zjeść.

– Tylko we dwie?

– Była z nami jeszcze Debra Green. Uczy u nas historii.

– Jaki to był film?

– Nowy *Blade Runner*.

– Chcę to obejrzeć – odzywa się chyba po raz pierwszy sierżant Winston. – Dobry?

---

\* General Certificate of Secondary Education – egzamin kończący naukę w gimnazjum, ostatni etap obowiązkowej edukacji w Anglii.

– Trochę za długi – odpowiadam – i nie tak dobry jak pierwszy. – Większość drugiej połowy przespałam i pamiętam tylko Ryana Goslinga, który bardzo powoli idzie przez śnieg, a po jego policzku spływa jedna jedyna łza. Nie mogę uwierzyć, że dyskutujemy o filmie, podczas gdy Ella leży gdzieś martwa.

– Odzywała się do pani w niedzielę? – kontynuuje przerwany wątek Kaur.

– Nie. Wysłałam do niej wiadomość przed ogłoszeniem wyników *Tańca z gwiazdami*, ale nie dostałam odpowiedzi.

– Która to była godzina?

– Koło siódmej.

– I w ten sposób spędziła pani cały wieczór? Na oglądaniu telewizji?

– Część wieczoru. Przygotowywałam się też do poniedziałkowych zajęć. Do kursu kreatywnego pisania.

– Była pani sama?

– Nie, była ze mną moja córka Georgia.

– Przez cały wieczór?

– Tak. Wprawdzie prawie nie wychodziła ze swojego pokoju, ale była w domu.

– W poniedziałek prowadziła pani zajęcia z kreatywnego pisania? Też odbywają się w szkole Talgarth?

– Tak. W czasie ferii organizuje się kursy dla dorosłych.

– Gdzie teraz jest pani córka?

– Pojechała odwiedzić swojego tatę. W poniedziałek rano odwozłam ją na stację. Wraca jutro. – Dobrze, że mój były mąż przywiezie ją samochodem. Tyle że będę musiała się z nim zobaczyć. To już gorzej.

Policjanci wymieniają spojrzenia. To musi być sygnał zmiany tonu, bo Kaur odchyła się na moim wysiedzianym fotelu i pyta:

– Jaką kobietą była Ella?

Wydaje mi się bardzo ważne, by odpowiedzieć we właściwy sposób. Ella jest ofiarą; nie chcę, by została oskarżona o to, że przyczyniła się do własnej śmierci, o co często obwinia się

kobiety. Co prawda sierżant Kaur sprawia wrażenie osoby, która chętnie włożyłaby T-shirt z napisem TAK WYGLĄDA FEMINISTKA, ale nie ufam jej. Pytanie ma mnie zachęcić do przyznania, że Ella miała życie intymne, musiała więc ponosić część odpowiedzialności za to, że została zamordowana. Pchnięta nożem. Wielokrotnie. Przeglądam w głowie wspomnienia o Elli: niektóre kopiuję, inne odtwarzam ponownie, część kasuję.

– Była cudowną osobą – oświadczam. – Bardzo inteligentną, zabawną. Wszyscy ją lubili.

Tyle że ktoś najwyraźniej żywił wobec niej inne uczucie.

– Była wspaniałą nauczycielką – brnę dalej. – Dzieci ją uwielbiały. Kiedy się dowiedzą, będą zdruzgotane...

Kaur nie zwraca na to większej uwagi.

– Czy Ella miała chłopaka? – pyta.

Wiedziałam.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiadam.

– A o jej byłych?

– To dawne dzieje – mówię niepewnie. – Ostatnio z nikim się nie spotykała.

– Wspominała o kimś konkretnym?

– Mówiła o kimś ze swojej dawnej szkoły w Walii. O jakimś Bradleyu.

Kaur notuje tę informację.

– I nigdy nie wspominała o nikim, kto ją niepokoił? Może prześladował na Facebooku albo coś w tym rodzaju?

Będę musiała przemóc się i zajrzeć na profil Elli na Facebooku. Najpierw jednak wypiję co najmniej dwa kieliszki wina.

– Nie.

Spodziewam się kolejnych pytań, więc jestem zaskoczona, gdy nagle równocześnie wstają, jakby na jakiś tajny sygnał.

– Dziękuję – rzuca Kaur. – Bardzo nam pani pomogła.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – dodaje Winston w drodze do wyjścia. Brzmi to jak kwestia z amerykańskiego serialu o gliniarzach.



Kaur przystaje, żeby pogłaskać Herberta stanowczym ruchem, który nie pozwala mu się zbliżyć do jej spodni, ale nie odzywa się ani słowem.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).